

Przyjaciel Ludu.

Rok szósty.

No. 37.

Leszno,
dnia 14. Marca 1840.



Osieczna.

Osieczna.

(Z zbioru gawęd wielkopolskich.)

Czarowną jest okolica Osieczny, zwłaszcza dla przybywającego od zachodniej jej strony. Po zwirach złotowej piasków topieli jedziesz ocienion z dwóch stron gałęzmi stuletnich wierzb; po lewej wlece się łańcuch wzgórz różnobarwem postrojonych zbożem; na prawej zielona, jako niwa rojen młodzieńczych łąka, tu się złotym przywabia kwiatem, ówdzie jasnoblękitną neć niezapominką, tam znów przyciąga śniegiem majowego kwiecia, które z rozsianych tu i ówdzie po niej krzewin wietrzyk w białych roznosi falach. Po nad wałami krasnej zieleni grają roje komarów, szybują jaskółki. — Wtém przeleci jastrząb i pogna z świerkiem pierzchające ptastwo. — W dali kmiecy koń szczybie łapawkę — tam trzoda wolnym krokiem już stąpa do wioski — w około cisza. W Czasem ją tylko skłóci skrzyp derkacza lub poświst wodnej kurki; czasami rechciance żabek w dalekich olchach i śpiew samotnego kosa.

Wyżej, w powietrzu balsamem setnych wyziewów przepelnioném, upędzają dzikie kaczkę i kuligi — za niemi z donośnym wrzaskiem płynie, zwinawszy w kłęb szyję poważna czapla, lub białopióry łabędź srebrnymi przegrywa skrzydły. Wszystko pod wieczór ściąga na blyszczące w dali, na wschód rozległe jezioro, które tak ozdobnie opromienia jaskrawym wieńcem zachód purpurowy.

O luba ziemi, jakżeż słodko podumać dziś w pośród ciebie! Zmartwychwstałe twe życie budzi w piersi zamarłe głosy wspomnień tysiąca i czarodziejskim swoim urokiem zakrzepie, znów wskrzesza nadzieje. Jak błogo, odetchnąć swobodniej na twém łonie! — Na krople wonnej twój rosy chciałbym roztopić mą duszę i z pełnej twojej czary, ojczyzna przyrodo! pić krocie roskoszy, któremi skrapiasz tę ziemię. Pragnąłbym być echem twój swobody, na strony wielkiej harfy rozprząść serca mego bicia i uderzyć tryumfalny hymn dziękczynienia twemu Stwórco!

Jak myśl bez granic, buja oko po tym rozległym obszarze wesela, z każdego przedmiotu ssąc napój roskoszy, aż zakrążywszy bardziej ku wschodowi, w na nowym spocznie widoku. Jak stado zórawi na czystym przy-

padłe polu, pną się tu stopniowo pod góry drobne, lecz porządne, gęsto zbite mieszkania. Nad gontowe, miejscami ceglane ich dachy, wbiegają dwie wieże kościołów, które w dali przysięgają niebotycznym swym szczytem starożytny klasztor. Takim obliczem, wędrowcze zachodu, wita cię miasteczko Osieczna.

Z wypogodzoną twarzą, weselem w duszy, wjeżdżasz do niego. Przecież na samym wstępie zasepi tve czoło sterczący ku prawej gmach starożytny, wyniosły, ale spustoszały. Jest to dwór, a jak wielu go mieni, zamek osiecki. Wpół z drzewa, wpół z cegieł zmurowany, wznosi się dom ten o dwóch piętach po nad samém jeziorem w dolnej części miasta. Zewnętrzna jego postać wcale nie okazała, zwszech stron zniszczeniem napiętnowana. Ściany wyrzucane wapnem, dziś po wielu miejscach już odpadłem, ukazują zacernione czasem cegły lub przegmule przyciesi; szyby okien, częścią zabrudzone, częścią wybite, a dach z gontów przegniły, świeci na wylot znacznymi otwory. Przykrym i odstrasającym jest widok téj ruiny: przecież nie odwracaj się od niej ze wstrętem przechodniu; o postój chwilkę i zajrzyj głębiej w serce jej dziejów. Ma i ona duszę, co to umarłe, butwiejące ożywia ciało, ma i ona swoje dalekie, dziwne wspomnienie, co się wyprzedło z jej murów, i teraz, niby kwiat grobowy, uwieńcza tę walącą się w gruzy pustkę.

Przed laty kilkudziesiąt, tak niesie podanie, miało się w tym dwurze pojawiać widmo kobiety. Okropny szelest, z jakim wśród nocy nawiedzało jego mury, wypędził zeń wszystkich mieszkańców, a wieść o straszném zjawisku rozleciała się wkrótce po bliższych i dalszych sąsiedztwach, w przeciągu roku po całej niemal Wielkopolsce. Różne ztąd powstały mowy: światlejsi, jak zwykle, brali to za bajki, w co prosty lud ślepo wierzył; inni, chociaż wprost nie zaprzeczali, żądali przecież naocznego przekonania; byli zaś i tacy, którzy, acz dziwnemu zjawisku żadnej nie przypisywali cudowności, przecież jako z naturalnych przyczyn dające się wytłómaczyć, bez wahania przyjmowali. Do liczby ostatnich należał mąż sławny w swoim czasie z głębokich nauk, zwłaszcza przyrodzonych i matematycznych, lecz niemniej słynny z rzadkiej i przykładnej pobożności kapłan, ksiądz dziekan Rogaliński. Przypadek sprowadził tego sędziwego już pasterza do Osieczny, a jeszcze dziwniejszy wskazał mu mieszkanie w bliskości zamku. Mimowolną zdięty ciekawością oglądania gmachu, o którym w całej niemal Polsce tyle dziwnych opowiadało wieści; gdy się doń, ile przy wieczornej porze z niejakiem zbliżał podziwieniem, wyszedł z bocznego domku osiwiwały staruszek, wspierający się na kiju, w wytartéj już nieco czarzarze, wełnianym pasie i czapce zawieszistój.

Nieznamy, ujrawszy kapłana, stanął jak wryty, długo nań patrzył z zastanowieniem, aż postąpiwszy kilka kroków naprzód, ozwał się: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!“ Na co gdy tamten stósownie odrzekł, dopiero staruszek wypogodził pomarszczone czoło i tak mówił: „Pierwszys to Wielm. Dobrodzieju, którego tak spokojnie i tak blisko widzę, obzierającego ten gmach tu. O gdybyś wiedział, co się w nim wewnątrz dzieje, pewnobyś go więcej nie zwiedzał.“

„Szanowny ojczcie,“ odparł z powagą kapłan, „wiem, co masz na myśli, i dla tego właśnie tak się ciekawie przyglądam temu dworu.“

Na te słowa cofnął się o kilka kroków staruszek i wrył na wpół podziwienia, na wpół zgrozy pełne oczy w pasterza. Co gdy tenże spostrzegł, „nie lękaj się,“ rzecze, „ojczcie, jestem takim, jak ty, człowiekiem i równego z tobą wyznaję Boga, jak cię utwierdzi ten krzyżyk złoty z męką Zbawiciela na méj piersi; ale jako namiestnikowi jego na ziemi, nie przystoi mi dawać wiary byle czemu. Opowiedz mi raczej, z kąd się wzięło i od jak dawna widmo, które was tu w tym gmachu tak wszystkich trwoży?“

„O długa to i smutna powieść, mój Dobrodzieju,“ rzekł starzec, „słyszałem ją jeszcze dzieckiem od ś.p. dziadka mego — jakiś wstręt mi niewiadomy wstrzymywał mnie od wyjawiania jej innym; przecież przed Wami nie śmiałbym dłużej zatajać, co w osłabionéj już zostało pamięci — słułajcie.“

„Nie myśl Asendzi, żeby ten zamek dzisiaj pustką stojący, zawsze był tak głuchym i opuszczonym. O były tu pono czasy, ale ileż to lat temu miły Boże! były, mówię, czasy, kiedy wcale innym jaśniał on kształtem; kiedy w tych omszałych ścianach wrzały szumne zjady ekolicznój szlachty, biesiady, zabawy, mnóstwo służebników i dworskich zapelniało te samotne komnaty. Bo dziedzic jego był Pan zamożny i cnotliwy, więc każdy go chętnie nawiedzał i lubił z nim przebywać. Dobrze się téż za niego wiodło i wszystkim poddanym; nie skarzył się chłopiek na ucisk podstarościch, nie jęczał pod plagami nielitościwych zarządców. Ale gdy na głos wpadnięcia tam gdzieś daleko w Polskę jakichś straszliwych nieprzyjaciół i Pan tutejszy musiał z innymi chwycić za szablę i ruszyć na wojaczkę, wszystko to poszło w niwecz, jakbyś ręką przewrócił. — Zona jego bowiem, pani krasna jak jagoda, ale dumna, a pono i trochę rozpuście oddana, po oddaleniu się męża, jeła szumieć i trwonić wszystko, co on przemysłem i oszczędnością nagromadził, aż wreszcie zły duch rozwiął i reszty dobytku. Przyszła bieda, za biedą i większe niecnoty. Miał się tu znajdować natenzas jakiś lekarz włoski, z którym pono

groźna pani, nikomu nie przystępna, miała miewać tajne schadzki i rozmowy. Lecz Bóg to tam najlepiej osądzi. Ten, gdy poczęto mówić o powrocie pana, nagle gdzieś z domu zniknął; nikt nie wiedział, gdzie się podział. Po kilku miesiącach wrócił; Pana dotąd nie było, aż wreszcie posłyszano, że kiedy wracał już do domu, gdzieś tam nagłą zginął śmiercią. Wielki był żal wszystkich domowników, mieszczan, całych gmin z okolicy. Jęto różne ciskać porozumienia na faworyta pani, nawet odgrażać się, gdy jednej nocy wyniósł się ztąd tajemnie i więcej nie wrócił. Teraz dopiero pani, snąc upomniona od Boga, odmieniła życie; zaczęła pokutować, w ubogiej szacie chodzić na długie modły do kościołów, suszyć całe tygodnie, jałmużny rozdawać ubogim, aż wreszcie w zgrzyocie i nędzy umarła. Myśleli wszyscy, że Bóg jej przynajmniej na tamtym świecie odpuścił grzechy, bo z jej przyczyny cały upadł majątek, nawet podobno pan tajemnie zabitym został. Ale za krótką snąc jeszcze była jej pokuta tutaj na ziemi, bo co noc wraca na nią i trwoga przeraża nas wszystkich. O wielki Boże! ileż to modłów i westchnień już poszło za nią do nieba, ileż mszów ś. i postów było; wszystko na próżno. Pomódlcie się za nią Dobrodziejju, może wasza prośba będzie skuteczniejszą.“

Zastanowiła dziekana dziwna ta powieść starca, wszakżeż nie zdołała przekonać o prawdzie cudu. Pożegnawszy go z uprzejmością, udał się w zamyśleniu do mieszkania, dokąd ciekawość widzenia tak znakomitego męża, zwłaszcza tak cnotliwego pasterza, sprowadziła kilku z pierwszych mieszczan Osieczny: w gronie ich znajdował się i Ojciec Onufry, gwardyan miejscowego klasztoru OO. Reformatorów, z którym naszego pasterza dawniejsza już łączyła znajomość. Gdy X. Dziekan Rogaliński po powitaniach gości i ogólnych kilku zapytaniach zwrócił nieznacznie rozmowę na pokutowanie w zamku, przysunął się do niego tenże i wśród rozlicznych gości rzekł po łacinie: *Reverendissime, non licet sacra miscere profanis; sed horrendum, horrendum dictu!* kończył z miną tajemniczą. Wszakżeż dziekan nie zważając na to, wypytywał się szczegółowo o wszystko. A panowie miejscy przyzywali wszelkiej do ust elokwencyi na zaspokojenie jego ciekawości, zbyt często tak rozdrabiając swe opowiadania, że i ponury gwardyan, który do tego niebieskiego, jak się wyraził, sekretu, nie chciał przypuszczać prostaczków, pomimo wolnie rozmarszczał zaspokojone czoło i potakiwał głową. Bawiły światłego dziekana te, jak mniemał, baśnie łatwowiernych, coraz więcej się wypytywał, chociaż częstokroć ledwo zdołał stłumić śmiech głośny, gwałtem się do ust cisnący.

„Moje dzieci,“ przerwał nareszcie, „pozwoł-

cie, niechaj i ja ducha oglądam. Kto wie, może wam weselszą przyniosę o nim wiadomość, jak te wszystkie, któreście dotąd słyszeli. Walenty!“ zawołał na sługę, „pościelesz mi w zamku, w tym pokoju, w którym najmocniej pokutuje.“

Sługa wzrokiem twogi pojrzał na Pana, niby badając, czy rozkaz jego nie był wysokiem zwykłej mu wesołości; ale ujrzawszy twarz jego poważnie zadumaną, odszedł wypełnić zlecenie.

„Jak też Wielmożny Dobrodziej może się narażać na tak widoczne niebezpieczeństwo?“ zawołał jeden z starszych obywateli. „Z duchami wojować — hm! nie ludzka to rzecz!“

„Kto wierzy przykazaniom boskim, kto ma dość czyste sumnienie, ten się niczego lękać nie powinien;“ odparł z powagą kapłan.

„Prawda to prawda, zwłaszcza Wiel. Dobrodziej, który jesteś jego zastępcą na ziemi, aleć to jednak, co duch to duch!“

„No — zazyjmy tabaczki, moi Panowie, a nie troszczmy się o to, co dopiero może nastąpić.“

Poczem ojciec Onufry, poszeptawszy jeszcze coś po łacinie w ucho dziekanowi, pożegnał go i udał się na wieczorną modlitwę do klasztoru; reszta towarzystwa także się rozeszła. Ksiądz Rogaliński sam został — mrok już był zapadł.

„Jakżeż Walenty, w dworcu czy posłano?“ —

„Stało się zadosyć rozkazom pańskim,“ odpowiedział drżący na samo to wspomnienie sługa. Tu kapłan przywdział na siebie komżę, przerzucił na nią stułę z czarnego axamitu, na której każdym końcu świecił z srebrnych galonków wyszywany krzyżyk. Na siwą już głowę włożył mały birecik, brewiarz w jedną, a krzyż z męką Zbawiciela w drugą rękę. —

„Walenty, ty będziesz spał przy mnie.“ —

Zadrzał i oniemiał młodzik na to wezwanie. Stanął jak wryty, długi ani słowa nie mogąc wybelkotać, aż po chwili nieco do siebie przyszedłszy, niziuteńko się skłonił swemu wesoło uśmiechającemu się panu, i prawie płaczącym zaczął biagać głosem, żeby go od tak okropnego uwolnił obowiązku. „Nie, nie Wielmożny Panie! wszystko zrobię, we wodę wskoczę, ale tam... tam... już proszę Wielmożnego Pana..., nie, tam już nie pójde!...“ Rozśmiał się serdecznie z tej bojaźliwości prostaczka poważny kapłan i klepiąc go po ramieniu, rzekł z łagodnością:

„Nie lękaj się niczego moje dziecko! Gdzie ja jestem, tam ci włos z głowy nie spadnie. Wiesz, żebym i ja na niebezpieczeństwo nie podawał mego życia. Co o tutejszym powiadają dworze, jest czysta bajka. — Chodź tylko śmiało, a będziesz jutro szydził z tych wszystkich, których baranią skórą można wystraszyć. Z resztą wiesz, że ja najmniejsze twoje poświęcenie hojnie nagradzam;“ i pokazując mu



M e k e m e d - A t i .

woreczek z czerwonymi złotem, dodał: „sześć takich tymczasem odemnie dostaniesz, jeśli pana twego nie opuścisz!”

Blask złota, spokojność i apostolska rezygnacja pobożnego kapłana, wreszcie i dziecięce doń przywiązanie, nakłoniły strwożonego Walosia. Gdy przyszli na miejsce, uderzyła w miejsce godzina dziesiąta. Dziekan Rogaliński, zapaliwszy dwie świece jarzące postawił wraz z krzyżem na małym stolyczku, w środku rozłożywszy brewiarz. Potem zawarł wszystkie drzwi mocno na klucz, kazał się położyć słudze, sam zasiadł do modlitwy. Uroczysta cisza panuje w samotnym gmachu, w samotnej komnacie. Niekiedy przerywał ją tylko coraz głośniejszy szmer pacierzy kapłana, co z złożonymi rękoma, okiem gorejącym, przy mławym blasku świateł i bliskiu srebrnego nad świętą

księgą krzyża, wzywa pomocy niebios. Czasem zakłóci ją i tęskne westchnienie pocącej się z trwogi Walosia, który na próżno snu przyzywa. Uderzy jedenasta — wszędzie głucho, jak wprzód. Bije północ. W dworcu powstaje szelest ogromny — głuchy grzmot zatrząsł jego ścianami — w samotnych kurytarzach gwałtowny rumot i już — już słychać coraz bliżej pękające bocznych komnat podwoje. „O Jezus, Je...z...us!” zakrzyknął, dzwoniąc ze strachu zębami, Walenty — porwał się z swego posłania i uciekł. Dziekan Rogaliński został nieporuszony na swoim krześle. Przecież słysząc, że łoskot coraz więcej się zbliża do jego pokoju, uchwyciwszy prawicą krzyż, powstał i czeka w milczeniu, co się dalej dzieć będzie. Kiedy wtem nagle uderzyło w okół żimno grobowe; zadrzał święty kapłan — drzwi



Soliman.



Ibrahim.

się z trzaskiem roztwierają na oścież — wchodzi osoba śnieżną osłonią bielą i zwolna koło niego się przetacza. — „Czego żądasz, tajemnicza duszo?“ zapytał z powagą pasterz. — Martwiec nic nie odpowiada, drugimi drzwiami wychodzi. Przerażony pasterz pogrążył się w myślach, sam siebie bada, czyby to nie była mara, złudzenie rozognionej wyobraźni? — kiedy się powtórnie drzwi same roztwierają i widmo też samą powraca drogą. Nie ulękniony Dziekan powtórnie się zapytuje — postać znowu nie odrzeka, w milczeniu go mija — znika — drzwi się za nią z jękiem zatrzaskają. Dziekan Rogaliński stał długo w miejscu nieporuszony — wreszcie zbliżył się do drzwi komnaty i zastał wszystkie mocno na klucz zawarte. Wraca na swoje krzesło, kończy modlitwę — w dworze wszystko ucichło.

Spędziwszy noc całą na modlitwie, skoro dzień zajaśniał, Dziekan zwołuje wszystkich mieszczan do klasztoru i tam przed wielkim ołtarzem uroczyste odprawia nabożeństwo za pokutującą duszę. I od tego czasu nikt w dworcu nic nie widzi, nie usłyszy — cisza i pokój w nim wieczny.

A. B.

Mehemed-Ali, Ibrahim i Soliman-Bej.

Obrazek wystawia wiernie męża, który obecnie zwrócił na siebie oczy całej Europy. Starzec ten, odwiedzany przez Europejczyków w stolicy swojej, chętnie ich do siebie przy-

puszcza i zdarzenia życia swojego opowiada. Przed dwoma laty tak mówił sam o sobie do księcia Püklera z Muskau w Luzacyi:

„Z siedmnastu dzieci ojca mego sam tylko pozostałem. Dziewięciu braci, starszych odemnie, zgasło w pierwszych młodości latach; co właśnie było przyczyną, że rodzice bardzo mnie pieścili. Dotychczas tkwią mi jeszcze w pamięci gorzkie słowa towarzyszków mego dzieciństwa: „gdyby Mehemed-Ali utracił rodziców, cóżby z niego było? nie ma majątku i do niczego nie jest zdatnym...“ Do żywego mnie te wyrzuty dotknęły, stałe więc przedsięwziąłem zupełnie się odmienić i stać się panem moich namiętności. Dwa dni czasem ani jadłem, ani spałem, przemyślując nad sposobami, jakichby należało użyć do odniesienia zwycięstwa nad współzawodnikami moimi. Pamiętam, z jakim nateżeniem jednego razu robiłem wiosłem na rozburzonym morzu, chcąc przed wszystkimi rówieśnikami moimi przybić słabą łódką, na której się znajdowałem, do portu wyspy, celu podróży naszej. Gdy wszyscy mnie opuścili, podwołem moje usiłowania, krwią się zafarbowały delikatne me dłonie, lecz w wielkim zapale nie czułem wcale bólu i szczęśliwie dopiąłem mego celu. Dziś jeszcze ta wyspa jest moją własnością.“

Matka Mehameda w czasie ciąży miała mieć sen, z którego wrózono, że dziecko, mające się narodzić, dojdzie do najwyższego szczytu godności i potęgi. Często matka sen ten opowiadała Mehemedowi, lecz nie omieszkała zarazem dodawać, jaka była wie-

szczków przepowiednia; i to bez wątpienia było powodem, że młody Mehemed wczesnie już czuł się do wielkich dzieł powołanym. O szczegółach życia czynnego Mehmeda - Ali mówiliśmy już w Przyjac. Ludu r. II. T. 2. Nr. 35. i 36.

Zasługą jego szczególniejszą jest, iż wzniosłszy się nad przesąd swego narodu, chrześcijańską oświatę wpajać usiłował w serca swych ziomków, co właśnie było przyczyną, że Egipt do tak wielkiej pod nim przyszedł potęgi.

Tulił on się do łona narodu, który nad wszystkie przenośli, a przyjąwszy urzędzenia Francyi, utworzył sobie na jój wzór wojsko na lądzie i morzu; sprowadził budowniczych, mechaników, chemików, lekarzy; za ich pomocą powystawiał koszary, szkoły, fabryki, rękodzielnie, szpitale wszelkiego rodzaju, narzeszcie zaprowadził rząd, pewnemi ścieśniony ustawami.

Gdy w roku 1832. syn jego Ibrahim pasza spotkał się z Turkami, poraziwszy ich na głowę, zdobywszy Syryą i po dwakroć zwyciężywszy pod Bejlan i Koniah, wprost przez Azją mniejszą zamyślał iść ku Konstantynopolowi; lecz bitwa pod Nezib (28. Czerwca 1839.), po której Sułtan utraconą Syryą odzyskać zamyślał, zatrzymała go nieco, lecz oraz pokazała światu, o ile wojska egipskie przewyższają tureckie tłuszcze. Wkrótce po tej potyczce został Mehemed Ali za niepodległego rządzcę uznany, a Egipt z Nubią, Senaar, Arabią i Syryą dla niego i jego następców w wieczne przekazany czasy. Pod Mehmeda rządem wzrósł Egipt w państwo potężne. Egipt, nie tak dawno cząstka ogromnego państwa Turków, jest teraz mocen 200,000 ludzi uzbroić i posiada flotę przeszło 30 okrętów (pomiędzy któremi 10 jest liniowych i sześć fregat.). Mehmeda Alego bez wątpienia można uważać za założyciela państwa, dynastji rządzącej w Egipcie i za największego męża wieku ponapoleońskiego; zwłaszcza, gdy się zastanowimy, że tylu nadzwyczajnymi odznaczyl się czynami, będąc sam bez żadnej nauki, wspierany jedynie niepoślednimi przymiotami przyrodzenia, w 42gim roku bowiem życia swego nauczył się dopiero pisać i czytać.

Nie mało też do wykonania tak wielkiego dzieła przyłożył się Ibrahim pasza, syn jego, którego sława równie na wschodzie, jak i zachodzie lotem się błyskawicy rozeszła. Ibrahim pasza jest to mąż zrodzony, możnaby powiedzieć, do wojny; zapalczywy, lecz umiający zarazem zachować zimną krew w niebezpieczeństwie, surowy, nieubłagany, lecz zarazem ludzki i w wielkim u wojska szacunku. Zarzuciłby mu można skłonność do okrucieństwa, którego nigdy nie zdołał powściągnąć; lecz jest przytém sprawiedliwym, wspaniałomyślnym, a nawet widać w jego charakterze coś rycer-

skiego. Beduini w Egipcie, Wechabici w Arabii, Grecy na półwyspie Morei uczuli dzielne jego ramie. Wszyscy rozsądni znawcy zgadzają się na to, że przyrodzenie nadzwyczajnym do prowadzenia wojny obdarzyło go talentem, a pole bitwy, nowe ciągle w nim tworzy pomysły, coraz wznioślejsze nasuwa mu myśli. On pierwszy z muzułmańskich wodzów nauczył się taktyki europejskiej, co tém bardziej jego podnosi sławę.

Ażeby tém dokładniej swe wojsko mógł przekształcić na stopę europejską, przywołał do siebie pewnego p. Selvis, obecnie pod imieniem Solimana paszy znanego, oficera, który liczne już w armii Napoleona dowody swego męstwa, wytrwałości i biegłości w sztuce wojennej był złożył, a który teraz, utworzywszy i uorganizowawszy wojska epipskie, wszędzie Ibrahimiowi towarzyszy. Wojsko, rząd, szkoły, szpitale, rolnictwo, fabryki, słowem wszystkie urzędzenia winien Mehemed Ali Francyi. Obok Solimana paszy mieszczą się imiona Clot beja, Cérisy beja, Resson beja, Livana, Dussapa, Jumela, Abro i wielu innych. Od początku zaraz swego działania był Mehemed Ali zawsze wielkim Francuzów przyjacielem; już w Kawali, nim wstawiać się zaczął, żył przyjaźnie z panem Lion, kupcem z Marsylii, którego, chcąc mu się za przysługi wyświadczone wywdziżyć, zostawczy wice-królem, zaprosił do siebie, aby w Egipcie żył przy jego boku. Pan Lion przyjął te zaprosiny; lecz śmierć zabrała go w dniu przeznaczonym do odjazdu.

Soliman wielce się do tego przyłożył, że Mehemed Ali ciągle wysoko cenil przyjaźnię stósunki z Francją. Prędkość, z jaką wyćwiczył wojska egipskie, tém bardziej świat zadziwia, zważywszy, że pierwsze przedsięwzięcie Mehmeda, chcąc wojsko swe przekształcić, bynajmniej mu się nie udało. Zarazem było trzeba zwyciężyć opór i religijny zapał Arabów, którzy coraz bardziej się szczyli. Z jednego wypadku poznasz trudności, jakie pokonano, i charakter Solimana paszy. Pewnego dnia, gdy przy wojskowym ćwiczeniu kula, widocznie przeciw niemu wymierzona, swisła mu koło ucha, „powtórzcie ten strzał,“ z zimną krwią rzecze, „jeden bowiem niezgraba nabił strzelbę na mnie kulą!“ Ta wielkość duszy, godna żołnierza wielkiej armii, do żywego wojsko mu powierzone wzruszyła; nie było już kuli przy drugim wystrzale, a ten, który na jego życie nastawał, stał się najgorliwszym jego obrońcą.

Mehemed Ali ma obecnie 70 lat, Ibrahim pasza 50, a Soliman pasza 58. Inni synowie Mehmeda są: Saïd bej mający 17 lat, zrodzony z niewolnicy; Hussein bej mający lat 13, zrodzony z niewolnicy; Ali bej mający lat 10,

zrodzony z niewolnicy; Iskander bej mający 8 lat, z prawego łoża; Mehemed Ali bej mający 6 lat, zrodzony z niewolnicy. Lecz lubo Mehemed Ali ma syna mającego lat 6, ma zato wnuka mającego lat 26, Abbas paszę, syna Joussonna paszy, który wracając z wyprawy przeciw Wehabitom roku 1816., umarł. Trzeci syn, którego Mehemed Ali miał z pierwszego małżeństwa, Ismail pasza, roku 1821. został zamordowany w mieście stołeczném Senaru, które był zdobył wkrótce po zwyciężeniu Nubii. — Ibrahim pasza ma troje dzieci, które się roku 1825, 1827, 1828, urodziły. — Założyciel więc dynastyi egipskiej będzie miał następców.

O stanie nauk w akademii krakowskiej za Augusta III.

(Dalszy ciąg.)

Wydział medyczny.

Do liczby umiejętności należy szkoła lekarska, która miała osobny w Krakowie wydział; o tój szkole nie ma nic prawie powiedzieć. Po jój upadku było tylko dwóch doktorów medycyny, bardzo mizerny mających fundusz, z którego obstać nie mogli; żyli oni tylko z praktyki. Żaden z nich nie dawał kursu nauki lekarskiej, i tylko podczas postu kilku uproszonym uczniom dyktowali mały traktacik o jakiej chorobie szczególniej.

Nie można jednak obwiniać szkołę krakowską główną o zaniedbanie nauk lekarskich, ile żadnego nie mając funduszu.

Trudno nawet zrozumieć, jak za panowania familii Jagiellonów szkoła ta utrzymać się mogła bez żadnego publicznego opatrzenia. Być musi, że wielka podówczas w Krakowie ludność dostarczała uczniów, którzy płacili nauczycielom za lekcyje, co za przeniesieniem rezydencji królów do Warszawy, wcale ustało. Doktorowie nawet sławniejsi poszli za dworem, gdzie z praktyki zyskowniejsze mieć mogli korzyści, jak z lekcyj przez uczniów opłacanych.

Tak wydział medyczny składał się tylko z dwóch doktorów medycyny, którzy w reprezentacji akademickiej mieli poważne miejsce, mieli nawet bezczelność doktoryzować czasem jakiego szarlatana, dać stopień doktorski jakiemu chirurgowi lub akuszerowi.

W czasie anarchii wszystko to uchodziło, któż się albowiem u nas zapytał, jakim prawem i za czyjém potwierdzeniem wykonywa u nas ktokolwiek professyą lekarza? Polska, co do tego, była ucieczką i schronieniem wszystkich szarlatanów, empiryków, awanturników. Każdy, kto chciał, lub znalazł pro-

tekcyą, mógł być doktorem, osiadał sobie po miastach i miasteczkach, leczył, zakładał aptekę, preparował medykamenta bez najmniejszej komuskolwiek opowiedzi.

Węgrzyni roznosili lekarstwa ze złotój bani, a barwierze wiedli handel z aptekami halaskimi.

Zydzi w małych miasteczkach sprawowali professyę doktorów i chirurgów; ustała nawet różnica między barwierzami i chirurgami, wszystko to szło pod imieniem cyrulików, wszystko miało wolność leczenia.

Prawdziwych doktorów dobrych i szczęśliwych praktyków było u nas bardzo mało; bogacili się oni niezmiernie bez najmniejszej szadności przeciw szarlatanom, którym przeskadzać nie potrzebowali, bo sami zaledwie swym obowiązkiem wystarczyć mogli.

W kraju więc tak rozległym, gdzie nie było żadnej szkoły publicznej dla aptekarzów, chirurgów i lekarzy, gdzie tylko niekiedy majątniejsi mieszczanie posłać mogli na medycynę swe dzieci do obcych akademii, gdzie cudzoziemcy kosztem magnatów sprowadzani, nie zdołali wystarczyć kosztownie opłaconej praktyce; nie mogło być inaczej, wyjąwszy kilku miast większych, gdzie było dość ludzi w praktyce lekarskiej sławnych; w województwach, osobliwie ruskich, dobry doktor, gdziekolwiek osiadł, zrobił sobie wielki majątek i uszczęśliwił miasteczko, do którego się zewsząd zjeżdżano. Taki można przytoczyć przykład na Hirnesie, który przy Potockim, wojewodzie kijowskim, osiadł w Zartakowie; na Strasserze, który przy Lubomirskim, chorążym koronnym, osiadł w Rzeszowie. Żadne miejsce, sławne przez wody mineralne u obcych, nie było ludne tak w zjazdy, jak Rzeszów i Zartaków z przyczyny Hirnesa i Strassera, do których z najodleglejszych stron Ukrainy, Podola i Wołynia zjeżdżano się na rady.

(Koniec nastąpi.)

Do Redakcyi Przyjaciela ludu.

Podobało się Redakcyi P. L. w artykule moim *Saxonia* (*) etc. niektóre wykreślenia, bądź przez wzgląd na stosunki osób, bądź téż żyjące osoby, poczynić; nie mam nic przeciwko temu. Lecz, że Redakcyja poczyniła niektóre odmiany, których ja wcale za swoje przyjąć nie mogę; upraszałbym tedy Szan. Redakcyi o ich sprostowanie w nadchodzącym którym bądź numerze.

I. Zeby „jezdziec Michałowskiego celniejsze zajmował miejsce,“ tego powiedzieć nie można; bo dalekie od prawdy — zajmować, zainteresować tylko mógł, i nic więcej; bo to była tylko skica i to nie z celniejszych robót jego.

(*) Zob. P. L. rok VI. N^o. 23 i 24.

2. Przy Wernecie położyłem nazwę, pod którą obraz ten w Europie jest znany: *Kontra-bandyci*. Opuścić termin rzeczony, jestto przeciw wyrażeniom sztuki postępować.

3. Między: Marcinem Teofilem z Krakowa a Michałem Czechowiczem położyłem przecinek; bo to byli dwaj różni i w różnych krajach nawet bawiący i malujący, a wielce znakomici artyści.

4. Kunicki nigdy się nie nazywał Kunic, bo to zakrawa na jakiegoś cudzoziemca; on zaś był rodowitym Polakiem, rodem z Krakowa, z przedmieścia Piasek, z ulicy Biskupiej; z ojca ogrodnika Kuną zwanego; młody naturalnie Kuniczem zwan, dostawszy się do kuchni biskupa Załuskiego, przez wrodzony talent, kreśląc i trafnie i z wielkim wyrazem to domowników, to dworzan, to różne domowe sceny, po ścianach i ustronach pałacu; tak wszystkich zajmował, bawił; że wiadomość o nim aż do samego biskupa doszła, którego sprawdziwszy sam wszystkie rysunki, tyle był podobieństwem osób zachwycony, że niebawem stał się mecenasem jego; po odbytych naukach i t. p., do stanu przyszłego zastosowanych i przeciwieństw się w językach, wysłany nakoniec do Włoch; wkrótce w liczbie najpierwszych artystów słynął, wiele dzieł w Rzymie i Florencyi wykonał;

do Anglii i kraju ojczystego przysłał (w katedrze krak. kilka przewybornych mamy obrazów). Gdy Włosi nazywać go zaczęli Kuniki (tak jak Mirekiego Mireki, a Lipińskiego Lipinki), mecenas, Kunze narucił mu nazwisko, które z poszanowaniem adoptował, i tak na obrazach odąd podpisywał się. Współcześni, a nawet żyjący dotąd nazywają go: Tadeusz z Krakowa, Kunicz, Kunicki, Koniecz, a nawet i Konik, ztąd niektórzy mieszają go i z Conning Salomonem etc., Amsterdamczykiem. Nasz Kunicki jest jednym z cenniejszych malarzów europejskich.

5. Najgorszy uszczerbek zadano tam (zob. str. 196.), gdzie mowa o najdawniejszych budowniczych polskich; mimo albowiem zacytowane akta kościoła S. Stefana, gdzie nasz Mikołaj z Krakowa i Jan z Gdańska zapisani są jako pierwsi budownicy (aus Polen die Baummayster (sic) bei St. Stephan, als man zolt 798—821), co usprawiedliwia pewność mego wyrażenia się, „że już z 8mym wiekiem etc. etc.“; Redakcyja, z ubliżeniem sławy narodowej, wiek 10ty położyła; i to jeszcze grzech ten, na cudzy rachunek, to jest mój, zaciągnęła!....

W Krakowie, dnia 13. Stycznia 1840.

S...., Sen.

Przez wszystkie królewskie urzędy pocztowe i księgarnie nabyć można:

Przewodnik rolniczo-przemysłowy.

Rok IV. 1840.

Treść 1go i 2go numeru:

Słowo o terażniejszym położeniu Towarzystwa kredytowego. — Pługi wynalazku pana André Jean. — Zalewanie łąk. — Siew wieczorny. — Asfalt sztuczny, użyty do dachów. — O prowadzeniu odcieków przykrytych w gliniastym gruncie i t. d. — Wiadomość do fabrykacyi cukru z buraków. — Mohar (Panicum germanicum). — Rozmaitości.

Belweder ze spuszczanym dachem. — Teorya orki. — Tyle rad gospodarskich, ile głosek w abecadle. — Kwiaty w mieszkaniu. — Kwiecienne. — Róże wysoko-pienne. — O pokrywaniu płaskich dachów. — Aparat do czyszczenia zboża pana Meaupous w Paryżu. — Drożdże, czyli młódzie. — O wpływie czystości. — Pogrzeb kretów. — Weczwut (Wedgewood). — Rozmaitości.

Przewodnik wychodzi, za współdziałaniem Towarzystwa rolniczego wielkiego księcia poznańskiego w Gnieźnie i Wydziału przemysłowego kassyna gostyńskiego, co dwa tygodnie, obejmując półtora arkusza. Przedpłata wynosi półrocznie 1 tal. 15 sgr., czyli 9 ztp.

Leszno, w miesiącu Marcu 1840.

Ernest Günther.

Biblioteka prywatna,

składająca się z blisko 2,000 tomów w języku polskim, francuzkim, niemieckim, łacińskim, włoskim, w przedmiocie historii i prawa; z 3,000 rycin na miedzi i kamieniu, wraz wielu robót ręcznych, w ogóle starannie zachowanych; z 500 arkuszy mapp dawniejszych i nowszych; tudzież 1,200 sztuk monet (nie medalów) od r. 1400. do ostatnich lat 3ch porządkiem tychże ułożonych, jest z wolnej ręki do nabycia. Bliższą wiadomość udzielają: Redakcyja Tygodnika i W. W. Stefanski w Poznaniu, W. Ernest Günther w Lesznie, W. Franciszek Piller i Spółka we Lwowie, W. Brockhaus i Avenarius w Lipsku i Paryżu.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie.

(Red. J. Łukaszewicz.)